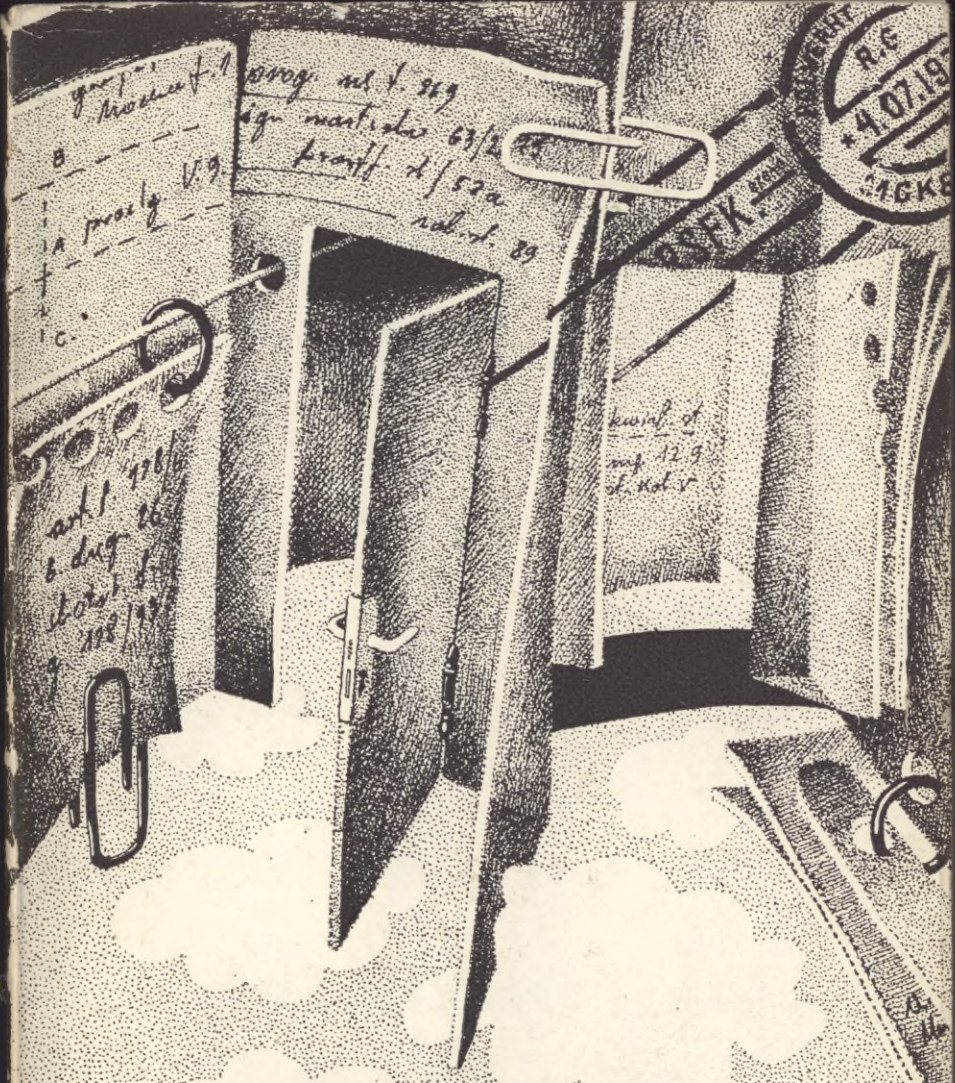




ZYGMUNT FLIS
chodzenie
po linie

Zygmunt Flis urodził się w 1937 roku na Lubelszczyźnie. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Od 1956 roku publikuje wiersze w prasie literackiej i w radiu. W 1963 ukazał się debiutancki tom jego poezji *Łamanie psalmów*, w 1973 następny — *Przynoszę ziemię*, a w 1975 arkusz poetycki *Wybór twarzy*.

ZYGMUNT FLIS
chodzenie
po linie

ZYGMUNT FLIS
chodzenie
po linie

ZYGMUNT FLIS
chodzenie
po linie

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE POZNAŃ 1978

Opracowanie graficzne
Jerzy Joachimiak



M

82-1

884-1

83919



© Copyright by Zygmunt Flis, Poznań 1978

K 169/78/78

mojej żonie Jagodzie

tytuł

Ten niepozorny mężczyzna
o nerwowo rozbieganych oczach
i o rękach jakby chciały pochwycić
za wiele świata jak na dzisiejsze czasy

Ten przeciętny szary człowiek
ukryty za anonimową twarzą
ten człowiek w pośpiechu
zjadający abonamentowy obiad
w przepełnionej restauracji
uciekający przed sobą
w ciasnym autobusie

Ten człowiek zupełnie zamknięty
zakresem czynności godzinami pracy
czujnością szefa
i kilkoma innymi okolicznościami
jak potop wojna w Angoli
i zbliżająca się wiosna

Ten człowiek tak szczerze zagracony
że nie ma w jego życiu miejsca na słowo
Ten człowiek oblężony nieustannie
przez przydymione niebo

Ten człowiek z nie zapłaconymi
ratami za życie
ponaglany nagradzany popychany
delegowany strofowany wyróżniany
meldowany ewidencjonowany
w ogóle nie istnieje

Nie udało mu się jeszcze
zrealizować siebie
w pragnionym wierszu
dó którego ma tylko tytuł

antoni czechow

Był chory na czasy
jak na starczy uwiąd
kiedy matki od razu
rodziły łysych urzędników
pośledniejszych kategorii
z lizusostwem i orderem

Był chory na czasy
jak gnijące płuca
z których wyrastali
ludzie bez sumień
jak ryby bez skrzydeł

Był chory na czasy
jak niezbyt krtani
kiedy tylko pochlebstwa
szeptane słodkim głosem
układano w sonet

Był chory na czasy
tak nieuleczalne
że nawet konający
nie zawołał głośno
bo może policmajster
lub sam gubernator

niewielkie są nasze wiersze

Niewielkie są nasze wiersze
jakby wygłaszane zdyszonym głosem
wiecznie zabieganego człowieka
w sklepie rybnym
gdzie ryby pozbawiono najlepiej
wszelkiej symboliki i wzniosłości
lub na przystanku
między przyjazdem przepełnionego autobusu
a awanturą w przejściu
Niewielkie jak krajobrazy
oglądane z naszych okien
z ciasno ustawionych obok siebie bloków
w których nie zjawia się nigdy
kwitnąca jabłoń
ani wyzwolone z pęt morze
jak marzenia młodości ślepe i bezkresne
Niewielkie jak uprzejmości szefów
dla nielubianych podwładnych
choćby się zapracowali na śmierć
Niewielkie jak ciasne
i standardowe mieszkania
pełne telewizji i takich samych spraw
Niewielkie jak dni zimowe
w których jednak się mieści
tyle porażek goryczy miłości i uniesień

tren dla siedemnastu

przypisany górnikom z Nowej Rudy

Nie byłem przy Was
kiedy milczenie skał eksplodowało
głosem najwyższym
Waszą nagłą śmiercią
przywartych do węglowej ściany
jak do okrutnego losu

Nie znałem Waszych twarzy
i już na zawsze pozostaniecie
listą siedemnastu nazwisk i imion
z komunikatu prasowego
jak siedemnaście różnych nazw
ludzkiego nieszczęścia
milczana litania śmierci

Nie umiałem Was ocalić
nawet w słowie wiersza
was sięgających po węgiel
jak Prometeusz po ogień

A jednak czytając o milionach
wydobytych ton
a jednak jadąc koleją
a jednak ogrzewając zimą ręce
nad kaloryferem
a jednak zapalając światło
w ciszy nocy
a jednak żyjąc
będę miał wyrzuty
że nie byłem
że nie znałem
że nie umiałem ocalić

nekrolog

Więc nie ja zginąłem w tej katastrofie
która jak generalna próba końca świata
zniszczyła tamto miasto
obojętnie jak się nazywa
jego nazwę znacie z tłustych tytułów
na pierwszych stronach porannej prasy

To jeszcze i tym razem nie rozstrzelano mnie
podczas tamtych rozruchów
kiedy jeden tyran
przy wiwatach tłumów
i rytualnym trzasku salw
a także rytualnym skonie ofiar
zamienił innego tyrana

Nie mnie jednak uprowadzono
w tamtym pociągu
który wioził ich w krajobraz śmierci
Jakże inna nagle stała się zielen
jakby oglądana z drugiej strony życia
i domki na horyzoncie z czerwonymi dachami
przestały być wesołe i zabawne

Nie ja umarłem w zaduchu leków
w tamtym rozległym budynku szpitala
a jednak czytam nekrolog jakby po sobie

stary wiarus

Od trzydziestu kilku lat
nie powraca
ten stary wiarus z wojny
Niepokoi nas
z dawno pożółkłych ogłoszeń
i komunikatów Czerwonego Krzyża
Wiedzie nas po opuszczonych cmentarzach
i zapomnianych żołnierskich mogiłach
Jego milczenie
przewożone jest przez wszystkie pociągi
statki i samoloty
nawet przedsiębiorstw
zagranicznych
Pisze do nas listy
z wszystkich kontynentów
które regularnie
do nas nie przychodzą
tupie za nami
inwalidzką nogą
którą postradał
pod Monte Cassino
i wyciąga dłonie
które mu urwało
na Wale Pomorskim
a czasami stoi na warcie
przy Grobie Nieznanego Żołnierza

poeta

Jaki położyć kwiat rozmarynu
na oczy
by zawsze kiedy boli
by zawsze kiedy trudno
by zawsze kiedy trzeba
być znów w Wielowski

Jakim kluczem zaklinać przestrzenie
by w każdą noc
by w każdy dzień
by zawsze
tak uparcie cierpieć przez kobietę

Jak długo trzeba codziennie umierać
by skonać tak pięknie
jak Ikar lub Piętaś

niepogodzeni

Niepogodzeni odpędzamy drwali
od naszych
najczęściej nie zasadzonych
jeszcze sadów
choć soczyste pnie i gałęzie
gotowe na ból
brutalnej siekiery
Białą nam się
welonem kwiecia
wiśnie śliwy i jabłonie
nawet w szarugę jesienną

Niepogodzeni nie chcemy
zgodzić się na świat
mówiony w pudle telewizora
i w głębi nocy
gdy nikt nie słyszy
szepczemy Julio

Julio jakiegokolwiek masz imię
uciekaj z zadymionych dyskotek
gdzie nagie światła
wałą jak kamienie
gdzie nikt nie wie
co znaczy miłość
bo nie można tego wyczytać
z podręcznika o spółkowaniu
ani z nieuważnie przeglądanych
programów radia telewizji i kina

Na ekranie nieba
idzie odwieczny film
o świecie i człowieku
o tobie i mnie
Nie dajmy zaśmiecić nieba

gniew

Po słowa
trzeba sięgać
tam gdzie one się rodzą
gdzie egzystują prawdziwe nagie
w swym dramatyzmie pięknie okrucieństwie
gdzie chwilowo zbędne
przechodzą w gest
przyjaznej dłoni matki
gdzie są tylko zielenią
za jakimś zakrętem wspomnień
Nie wiercie poetom
którzy posiadają
wszystkie słowa
One są fałszywe
Nie wspinali się po nie
po brudnych schodach
do mieszkań
samotnych staruszek
Nie widzieli jak one
zanikają za okularami starców
przez które nie widać już świata
Nie pochyłali się
do zanikającego głosu konających
Nie odbierali jak komunii
milczenia niekochanych
Tylko docierpiane i dokochane słowo
jest prawdziwe
w rzeczy najbardziej nieprawdziwej
w wierszu

mój przyjaciel

Mój przyjaciel
nie powrócił z wojny
gdyż nie był na żadnej wojnie

Jakże wspaniale umiera się
oreźnie i w ordynku

Te dekoracje rozkazy
proporce
i powaga zawsze na baczność

Każdy się stara pomóc w umieraniu
kompaniami masowo
plus ogromne zaplecze
sprzętu technicznego

Nie miał tego szczęścia
on po prostu wyszedł z życia
jak z niewygodnego
i ciasnego pokoju
bez możliwości powrotu

A miał jechać na ryby
a miał napisać opracowanie
a miał szanować
nie lubiącego go szefa
a miał po prostu żyć

Kto to za niego teraz zrobi

żelazowa wola

Trzeba żeby Naród
cokolwiek się rozumie
przez ten termin
żeby właśnie Naród
miał takie miejsce
uczepione u bujnej zieleni
jak gniazdo ptasie
u strzechy dziejów
miejsce takie
gdzie czas
kornie uklęknie
żeby miał
gdzie można naprawdę
gdzie jedynie można
tak ukrzyżować melodie
wplecione w los tego Narodu
jak w katowskie koło
by cierpiały wiekami
za siebie
za artystę
za Naród
za wszystko
do następnego koncertu

Beluzowa wolałaby być

Wszystko to

Trzeba być w stanie

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

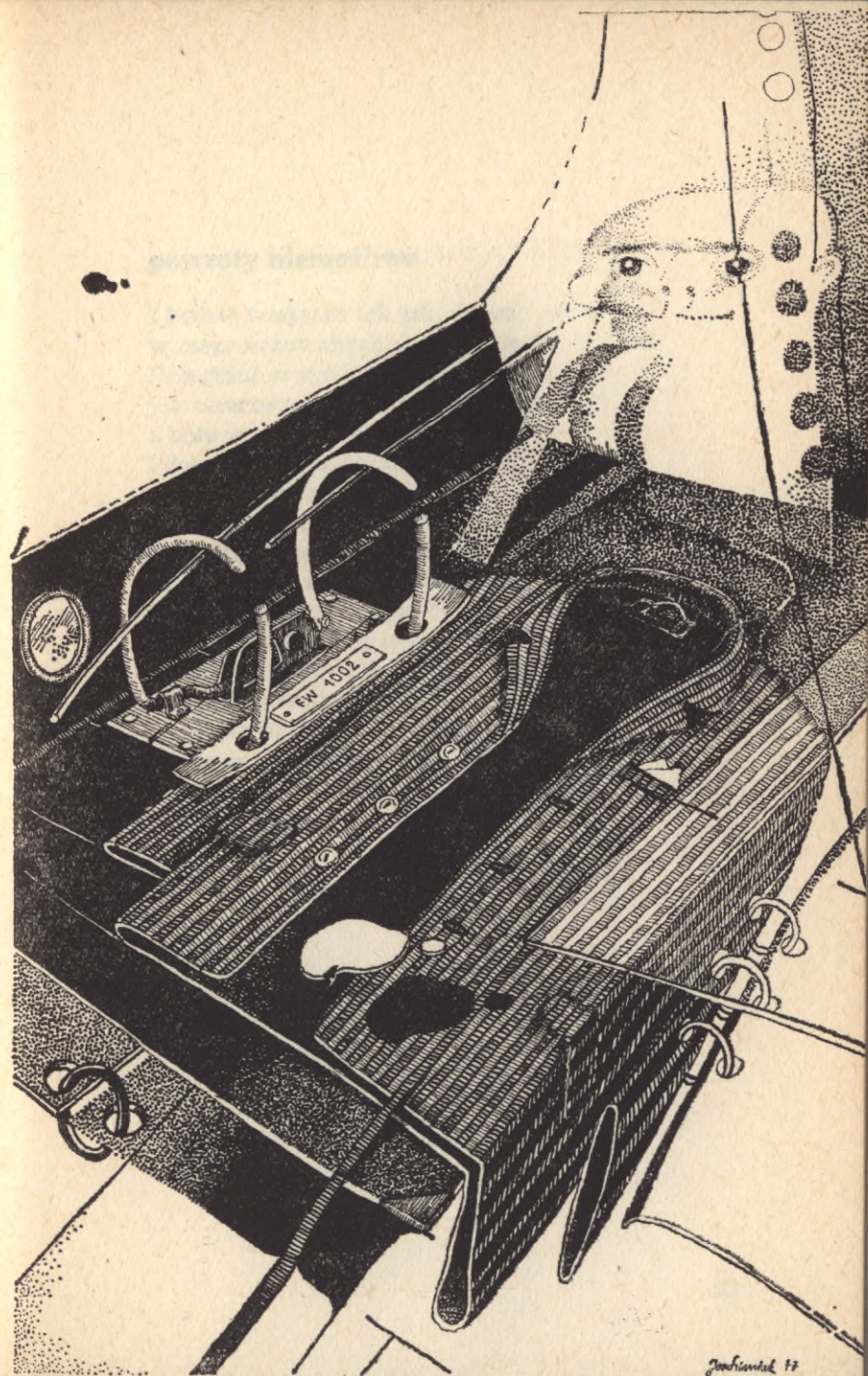
Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to

Wszystko to





powroty niemożliwe

I będzie wszystko tak jak chcesz
w nieprzeczuwanych chwil salonach
Przegrani w życiu będą znów
jak zmartwychwstały ktoś kto skonał
z bólu wyrzeczeń ciosów zrad
i daremności każdej chwili
i zaczną życie piękne tak
jakby dotychczas tu nie żyli
Odnajdą gwiazdę dobrych wróżb
na najwspanialszym z wszystkich niebie
nawet sens życia znajdą też
a może może nawet znajdą siebie
I zaistnieje wszystko znów
w porywie walce i uporze
wszystko najlepiej wszystko tak
jak w życiu spełnić się nie może

anioły wspaniale

Poeto nie będziesz Dantem
Nie ma już piekła
Uciekło nawet z pustych kościołów
gdzie Pan Bóg przez głośniki
nada je jazz lub sprawozdanie
z meczu piłki nożnej

Apostołów jest szczęściem dwunastu
jeden rezerwowo siedzi w ławce
ma lekką kontuzję
można z nim pomilczeć
lub krzyczeć
Lato gola
gola

Są tylko aniołowie
coraz więcej aniołów
jakby zrobieni z ukłonów
czystości i uśmiechu
wierni Panu Bogu kariery
jak ból chorobie

Wznoszą się na skrzydełkach wazeliny
po pochwałę
po awansik
po podwyżkę
po orderek
po
nie lubi ojciec kariery



szef bieli
świat staje się kirem
kiru nie lubi
jaśniej biela
jak lelija niepokalana
lelija którą czasem noszą
na ważniejsze odprawy
Szeft niedowidzi
natychmiast ich oczy
zachodzą bielmem
Nie ma wątroby
wyrzucają swoją
jak zbyt ciężką szmatę
Pracowici od rana ćwiczą się
w recytacji pochlebstw i donosów
i doskonałą ukłony
jak Paganini melodię

Nawet we śnie
piszą sprawozdania do szczebla
słodkie jak pierniczki
gdzie wszystko jest
czego nie ma
nie będzie
i nie może być

Ich praca wspinania się
po szczeblach
ich marzenia wspinania się
po szczeblach
ich miłość wspinania się
po szczeblach

Czyści i wonni
jak sklepy drogeryjne
że nagle chcesz wołać
trochę zdrowego smrodu gnoju
i ręki z mazołami od pracy.

borodino

Zbigniewowi Bieńkowskiemu

Nie ma żadnej metody na życie
Każdy ból jest innym bólem
i przychodzi do nas
z innej strony zaskoczenia

Zawiódł cię przyjaciel
opuściła kobieta
Nie pomogłeś potrzebującemu
i wszystko jest jak było
To same miasto
ulice meble i godziny
a jednak zatonął jakiś kontynent
którego nigdy nie widziałeś
a bez którego
trudno żyć.

Jesteśmy pojemni na klęskę
jak wszystkie pola Borodino

list z zakopanego

Nigdy nie przyjdzie
ten wiersz
nie wysłany listem z Zakopanego
dlatego codziennie czekam
na listonosza
który okazuje się
starzejącą się
i chyba zmęczoną
życiem kobietą
Spoglądamy na siebie
w milczeniu
i jest w tym
treść wszystkich
nie wysłanych listów
nawet tych napisanych
pochyłym i mało czytelnym
pismem
jak kroki zmęczonych dzieci
wspinających się na Giewont

po co komu poezja

W sprawie Majakowskiego
W sprawie Piętaka
W sprawie Wojaczka
W sprawie Człowieka

Po co komu poezja
te drabinki niezdyscyplinowanych słów
(a są przecież odpowiednie przepisy)
takie małe trampolinki wyobraźni
które niepoprawnych umieją podrzucić
aż do chmur

Niezdyscyplinowani marzyciele
(że też nie ma jeszcze
odpowiedniego zakazu)
niepomni na los
takiego jednego
Nazywał się zdaje się
Ikar
Roją ciągle o jakichś skrzydłach
Takie gminne Hamlety
co to nie mają przed kim
wygłaszać
swych monologów.
Nawet samotność w gminach
jest zbyt ciasna.
Ofelio ja wiem
żeś uciekła w nieznane
beżowym fiatem
Poloniusze wszystkich czasów
są majętni

Ofelio ty im nie wierz
to wszystko nieprawda
Już sposobią tę zimną piwnicę wody
by cię w niej zamknąć
na zawsze
Są pomysłowi
Powinni opatentować
niezawodne zamknięcie dla człowieka
woda trucizna zawał serca niesława
zawsze zatrzaśnięcie w śmierć
nieodwołalnie

Ofelio to nie dekoracje
z lunaparku
to niebo z księżycem jest prawdziwe
jak prawdziwy jest ludzki ból
co się najlepiej rymuje z poezją
tą krwawą hostią
noszoną na piersiach
przez różnych dziwnych facetów
Może być Majakowski
Błok
Piętak
czy Wojaczek
Jednakowo otwierają się żyły
jednakowo zakwitają nagle
i ciepłe kwiaty krwi

Ofelio nie uciekaj
z krótkich linii wiersza
poza nim czeka cię
codzienna woda powietrza
gdzie tonie się tak bezgłośnie
na ciekawych
i rozbawionych oczach bliźnich

Nie przeczę
że pod ślepą latarnią Księżycą
przegrałem w karty ten wiersz
do ostatniego słowa
z ekspresu poezji
z jakimś zbirem
który raz nazywał się
Gałczyński
to znowu Rimbaud
Nie będę się wypierał
to wszystko prawda
nie zatrzymałem
ramienia Raskolnikowa
i przyświecałem
w zaułku zbrodni
zdumionymi i przerażonymi
oczami

To ostatni przywilej poetów
okopać się w strofach wiersza
albo wyjść
z któregoś piętra samotności
najlepiej gwałtownie
i na oczach tłumu
Niech mają o czym mówić
przecież jest po coś
poezja.
I może wtedy
z trzymanego w dłoniach słowa
popłynie żywa krew.

powrót do wielowsi

*Pamięci
jasnego płomienia poezji
Stanisława Piętaka*

Może w taką jesień
można dojść do tej wsi
której przynajmy
nigdy nie było
Tak mocno
trzeba wymyślać
ten świat
by był do zniesienia
Ciągłe nie ma
w nas
tych kroków
co niegdyś
co nigdy
po zielonej pochyłości
po zielonej pochyłości
marzonego wiersza
Jak ustawić kolory
w ciasnych snach
by tam gdzie zawsze
ciepły razowiec dłoni
matulu witajcie

rita pavone tłumaczy serce

Pod kopułą nocy nie hoduje róży
Wpatrywała się w jej ciemne lustro
aż przeszła na drugą stronę
Pozostał bezbarwny uschły badyl
jak zatarty adres

W tej melodii
jest jednak uwięziony kanarek
oczywiście niebieski
z dzwonkiem u szyi

To nie ma związku
z tą niemłodą już matką
która nie ma pieniędzy
na kupno szczęścia córce

Nie jest aluzją
do niesfornego anioła
który tak dobrze ukrył się
w którymś z ludzi
że sam się nie może odnaleźć

Nie należy łączyć
z wytwornym (willa, samochód, stanowisko, forsa)
ludożercą
który nad każdą ofiarą
płacze prawdziwymi łzami
Ani nawet z tym
oblakany poetą
który na nowo
chce napisać świat.

wyznanie heroda

Nic się nie zmieni
zostanę już okrutny
w swym do ostatniego szczegółu
wykończonym pałacu
gdzie jak w ustawie
nie ma miejsca
dla nietrwałego człowieka
Tłum zauszników
o czym wiem doskonale
otacza mnie siecią oczu i uszu
Nawet pogadać przez sen
nie wypada
A ja także lubię
miękkie płomyki
szyszek na świerkach
Czerwonobure płomienie pni
Ciepłe i ruchliwe
torby krowich pysków
Nawet tę pijaną
hołotę pasterzy
choć śpiewają
nie mając słuchu
Muszę jednak
nieustannie go zabijać
choć purpurze mego płaszcza
nie potrzeba
tej strugi jasnej
młodej krwi.
Muszę Zbyt wcześniej
wyraźnie dostrzegł

zimną gwiazdę prawdy
A to już nie folklor
nie upodobania
to polityka

ofelia

Zawsze o Hamlecie
Jak z białą różą czaszki
jak mocujący się
z wytwornie u gotyku
rzeźbionym pytaniem
Jak za kotarą
zawsze w dekoracjach
małego człowieka
co płomieniem krwi
we mnie pulsował
pchnął nie racją
ale twardym ostrzem
Nie o mnie
choć jedna znałam
słabość jego dłoni
i milczenie
ksiąg czytanych
na pustych krużgankach
Nie o mnie
co otwierałam mu się
jak wiosenna wonna łąka
Nie o mnie
która znałam przepaście jego duszy
Żeby ich nie wyznać
narzuciłam na głowę
zimną chustę wody.

portret matki

Stare matki nie umieją
wracać do portretów
zapamiętanych
przez swoje dzieci

Nie chodzi tylko
o złocenie lub czerń ramy

Zmarszczki matek
układają się
inaczej od ich strony

Mają coś ze stromizny
przepaści

Są także kłopoty z rękami
Z różą w dłoni
im niedobrze

Lepiej z wonną plamą chleba
Zawsze chleba i soli
Soli co jak łyż
co są zupełnie nefotogeniczne.

człowiek XX wieku

Kazano mu zmienić niebo
Kazano mu zmienić kraj
Kazano mu zmienić twarz
Kazano mu zmienić uczesanie
Kazano mu zmienić poglądy
Kazano mu zmienić kochanki
Kazano mu zmienić obyczaje
Kazano mu zmienić pozycje
Kazano mu zmienić matkę
Kazano mu zmienić ręce
Kazano mu zmienić głowę
Kazano mu zmienić sądy
Kazano mu zmienić oczy
Kazano mu zmienić sumienie
Kazano
Kazano
Kazano
Wołasz do niego
Człowieku człowieku
Nie wie że o niego chodzi

hiroszima

Jerzemu Lisowskiemu

I nagle w blasku
całe miasto
wstąpiło do nieba
Było coś biblijnego
w tym wniebowstąpieniu
ludzi ptaków zwierząt
mostów domów i samochodów
po szczelbach powietrza
Tak samochodem
pojechać do Pana Boga
czy to nie niezwykle
luksus cywilizacji
Ale nawet w tym
nie było jednomyślności
Tam matka
przycisnęła do ziemi
swoje dziecko
i pozostała z niego rączka
ze zwęgloną zabawką
Młody zakochany
piersią zasłonił
swoją dziewczynę
że pozostała twarz
z nadpalonymi
i otwartymi
na całą śmierć
ciemnymi oczami
Most na wpół pozostał na ziemi
nie chciał być
drabinką Jakuba

Ale co najdziwniejsze
że pilot który tę bramę
do nieba przed miastem otworzył
przypominał sobie nagle
że nie wierzy w niebo.

antygona

Widziałem Antygone
jak naga
tańczyła na jarmarku
wśród rozkrzyczanego tłumu
Z boku
w jednej z wnęk
stał Sofokles
i trzymał w ręku
zwitki papieru
niepotrzebne nikomu.

biały erotyk

Kiedy w ciemności
zajaśnieją
białe gwiazdy twych piersi
i ściany pokoju
przywołują echa
wszystkich borów
patrzę
jak noc
nalewa się przez okno
Ma konsystencję
źle sparzonej kawy
Przyczepione do okien
milczą gwiazdy
Wtedy wstaje w nas wicher
gorący jak tropikalne monsuny
to on rozpościera w nas
te różowe skrzydła
że nagle wirujemy
między ziemią a nocą.

kiedy do ciebie przystępuję

Kiedy do Ciebie przystępuje
to jakbym kupił bilet
w najwspanialszy las

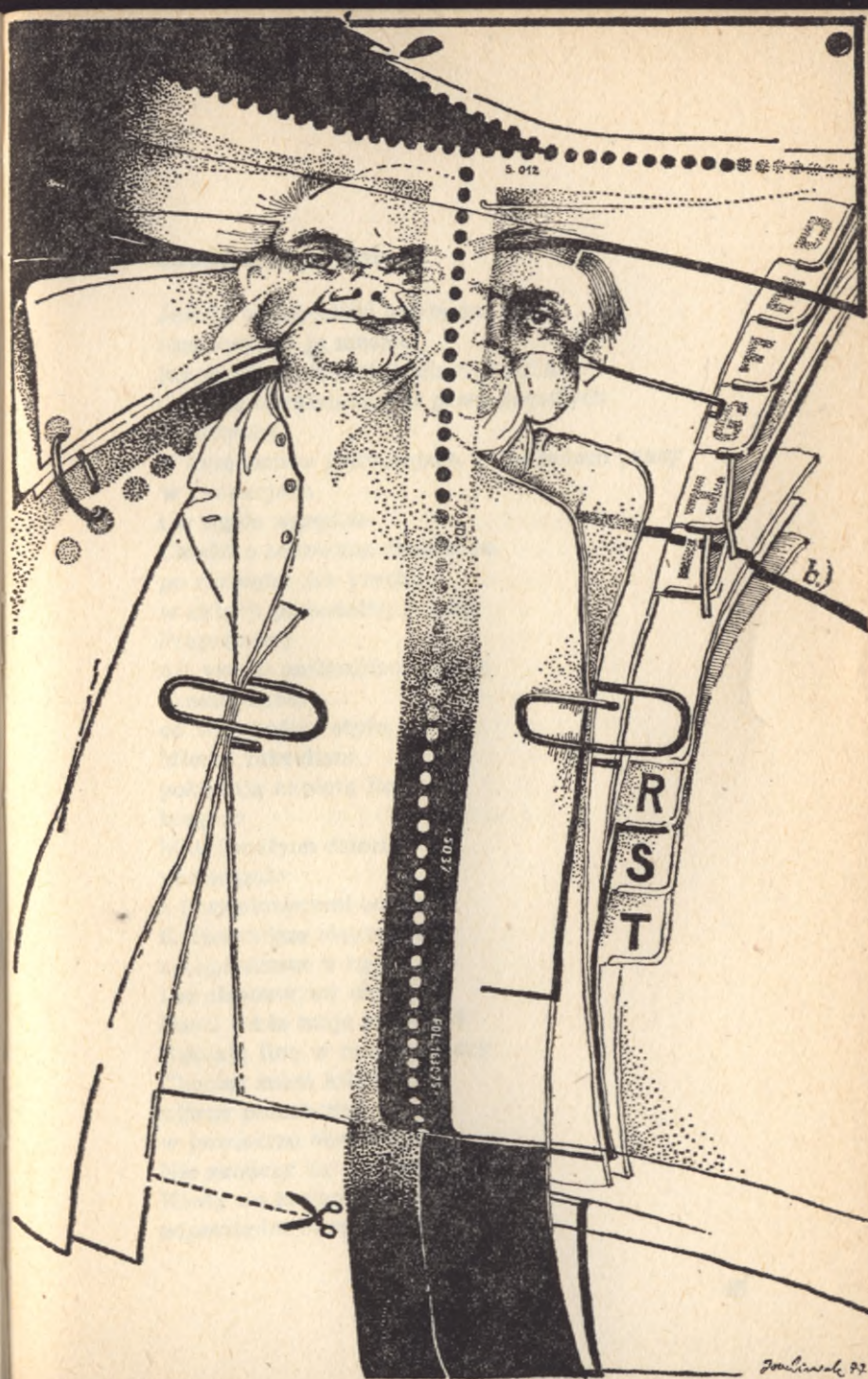
Kiedy do Ciebie przystępuję
to jakbym wracał
ze stacji naprawy snów

Kiedy przystępuję do Ciebie
to jakby ożyły ryby
zamknięte w konserwie

Kiedy mówię do Ciebie
to jabym wesele opowiadał
z piersiastymi druhnami
w ognistym krakowiaku
i z kapelą w melodii
całej w pawich piórach

Kiedy mówię do Ciebie
to jakbym rwał w wyścigu
koniem na bieżniach

Kiedy do Ciebie mówię
to jakbym ptaki nazywał
nieznane najbardziej



chodzenie po linie

Jest to umiejętność niezbędna
rozpocząć ją można
już w szkole średniej lub na studiach
Ogólnie uprawiana jest przez dorosłych
Ćwiczy się
w urzędach w instytucjach w zakładach pracy
w redakcjach
i w ogóle wszędzie
Chodzi o codzienne chodzenie
po rozpiętej jak krecha
w aktach personalnych linie
Przyznajmy
nie jest to najbezpieczniejsze
Zresztą zależy
od wysokości i stylu
Młodzi zakochani
pokonują napiętą linę
biegnąc
Matki małych dzieci
pospiesznie
z przymkniętymi oczami
Karierowicze elegancko
z kapeluszem w ręce
i ze stosownymi ukłonami
Poeci także mają swój styl
Upinają linę w modne wzory
Chociaż znam kilku
którzy przechodzą
w powietrzu obok liny.
Nie skończy się to jednak dobrze
Kiedy się zorientują
odpowiedni urzędnicy

ryby

W jakiejś zatoce ciepłego światła
pod przyjaznym uśmiechem matki
w wodorostach przypraw kuchennych
pływają prawdziwe nasze ryby

To później wraz z prawdą
o bezwzględności życia
poznajemy zimne i podstępne wody
jakichś rzek i jezior
przynęty haczyki sidła
oraz niewrażliwość
na powolne umieranie
szczupaka węgorza karpia
czy człowieka
Bo prawdziwe ryby są zawsze tam
jeżeli nawet i tę ciepłą zatokę światła
i uśmiech matki
sami później wymyśliliśmy

jasełka

Pachniało jabłkiem
rybą imbirem i pieprzem
jak w każdej kolędzie
I przyszli kołędnicy
jak ze starych ołtarzy
Nawet gdzieniegdzie
odstawiało trochę złota
i zwisała szmata czerwieni
Zahuczeli kołędami
dostojny pniak Heroda
wiotka Maria
z pyzatym Jezusem
porykujący pasterze
szywny i błyszczący
jak wszyscy wojskowi
marszałek
Była także
biała płachta śmierci
Nie zaczynali jednak
przedstawienia
ciągle czekali
na któregoś z Judaszy
zajętych gdzieś w życiu.

niebo

W pewnej chwili stwierdzono
że nad nami
nie ma nieba
Jest to problem
poważniejszy
niż się wydaje
Nie chodzi tylko
że teologowie
i niektóre matki
nie mają gdzie przechowywać
świętych i aniołów
Mieszkania jak wiadomo
są ciasne
I nawet nie to
jest najgorsze
że setki przysłów i piosenek
straciło swój sens
Ale co zrobimy z Bogiem
jak przyjdzie
z Psalmów Dawida
i Jana z Czarnolasu
i nie będzie miał
się gdzie podziać.

poezja niemożliwa

(w związku z T. Borowskim)

Nie żeby ocalać jest za słaba
by podnieść protest przeciw zbrodni

Nie żeby budować jest bezdomna
we wszystkich słowach prawdziwych wierszy

Nie żeby zachwycać w czasach
gdy padlina lepiej pasuje
do wierszy niż róża

Nie żeby nauczać
umie jedynie pogłębiać zwiątanie
aż do potrzeby wiary

Nie żeby mówić
Kto z pełną świadomością wskrzesi słowo
które spłonęło w piecach Oświęcimia
Ociemniałe słowo oszalałe słowo
cierpiące słowo umierające słowo
skatowane w ustach skazańców
Słowo — przesłanie i słowo — pohańbienie
Słowo — nadzieja i słowo — testament
Słowo — pragnienie i słowo — przekleństwo
Słowo
Słowo
Każde

słowo

Słowo moje narzędzie ułomne
że zawsze stoję przed życiem
z bezbronnymi rękami
jak z pięciopalczastym milczeniem

Nie chcę byś było barwne
jak łowickie kilimy

Nie chcę byś było słodkie
jak pochlebstwo

Nie chcę byś było otwarte dla każdego
jak komnaty wiosennego powietrza

Bądź zamknięte jak milczenie kamienia
Bądź odporne jak ziarna ciszy
Bądź nieuchwytnie jak przesypywanie się
piasku czasu między palcami
Bądź niedoskonałe jak realizacja naszych postanowień
Bądź pełne obaw słabości i lęku
jak człowiek
I jak on nieśmiertelne.

* * *

Kiedy tak stoisz na linii wiersza
i boisz się a jest to lęk rozległy jak ból
przekroczyć ją nawet oddechem
by to słowo pierwsze i to przedślowie
ogromnego czekania i pragnienia
jak nabrzmiałe przecucie liścia
w wiosennej lodydze
było twoje tylko i doczłowiecze zarazem
Tylko przez wiersz własny
tylko przez wiersz najbardziej osobisty
najpełniej splatasz się z tym światem
że nagle te obce twarze ludzi ci nieżyczliwych
i twarze pragnione przyjaciół
i ta spłacheć tylko twojego światła
w nowym w twym życiu mieście
zaczynają coś znaczyć w tym mieście które oswajasz
jakbyś na barkach dźwigał je z przyszłości
w tym mieście w którym pragniesz
mieć dom dla swych wierszy
a więc dla żony i dla synów
którzy przechodzą nieustannie
ze świata do wierszy
i z wierszy do świata
Kiedy więc tak stajesz na linii wiersza
tylko sam wiesz najlepiej
jak pragniesz poszerzyć świat
o nowy wiersz
a wiersz o ten własny
osobiście przez siebie uchwycony
skrawek świata

ballada katowska

By król był możny
By dzwon był głośny
Aby korona blaskiem jaśniała
musi być szafot
topór być musi
i kat z rękami
jak myśli sprawne

Aby królewny sny miały piękne
Aby mieszczanie nad garnkiem monet
By kraśne dziewczki chroniły wdzięki
musi toporem pracować w Mięsie
i szarfą krwi
wiązać go z rynkiem

Aby Katedra rośla nam w niebo
By na ołtarzach jaśnieli święci
Aby biskupi dostojni w tłuszcze
Kat musi czuwać
musi być czynny
Na oczach tłumu
na środku rynku
topora światłem ciemnym
Niepełny szkarłat
królewskich płaszczy
bez krwi barwnika

przypowieść o raj

Nie zaczynał się
i nie kończył nigdzie
jak milczenie

Piękność jego kwiatów
była nie do wypowiedzenia
nie do zobaczenia
nie do odczucia
nie do odmalowania i wyśpiewania
czy w ogóle do ogarnięcia czymkolwiek

Wielość i różnorodność
smaków owoców
była nadmierna
na ich ludzkie ograniczone apetyty
siły i możliwości
i stali storturowani tym ogromem
nie do przemierzenia

Nie ograniczały ich życia
żadne godziny dni miesiące
stulecia i epoki
i byli bezradni
w tym ogromie beztroskiego istnienia

Mieli wszystko tak
że nie umieli po prostu niczego pragnąć
i może wtedy
zatęsknili nagle
do rannego naszego wstawania
w jesienny słotny ranek
aby ani minuty
nie spóźnić się do pracy.

potrzeba skrzydeł

Czy naprawdę chodziło o matkę
tę pięknie starzejącą się panią Salomeę
co w uporządkowanych zagonach życia
w uporządkowanej pozycji społecznej
i w ciągle uporządkowanych
wspomnieniach po dwu mężach
nie umiała oswoić
tego bezlistnego pioruna poezji

Jeszcze te harfy deszczu na skałach
Jeszcze ta chusta gołębia
Jeszcze te sztandary
jak upokorzone i sponiewierane psy
u nóg zaborcy
Jeszcze ten biały sztandar
suchotniczej twarzy syna
co był zaprzeczeniem poddania się
Ale ta reszta
Ta nieskończoność przedłużana
każdym nowym wierszem

Wieczory w Krzemieńcu
były długie
i tylko kręta Ikwa
snuła się po nich
ciemnosrebrną nicią

Czytała piękna pani Salomea
Kochana Matko Moja
nie pojmując
że nie chodzi o syna

o drobnej sylwetce
że nie chodzi
o tę starzejącą się piękność
co coraz głuchsza

jak usychająca lipa
ale o człowieka
co skrzydłem Ikara
zawieszony u nieba poezji
własną wątrobą
karmi stada kruków

Kochana Matko Moja
nie rozumiała
że nie wypadało
listów do siebie
wysyłać do Krzemieńca
inaczej.

harenda

Konradowi i Cezaremu

Kiedy wyboistą drogą wśród chmur
zajechał na koniec
strudzony gazda z Harendy
przed oblicze Pana
zapytał go Wszechmocny
Na co ci niebo moje
mój Janie drogi
kiedy tam u okien
miałeś codziennie
twoje Tatry umiłowane
co ci tu najdę pięknieszego
Na co ci niebo moje
kiedy tam w alkierzu
u nie zamkniętych nocy
pozostało
przyjazne ci i wonne
kobiece ciało
które umiało patrzeć
w twoją stronę
jakby nagle krokusy
wyrastały z podłogi sosnowej
Na co ci moje niebo
kiedy świętych pańskich
z krzywymi gębami
malowanych na szkle
miałeś więcej
niż ja w największy odpust
A i ze mną
wadziłeś się
jak z żoną najswarliwszą
Gdzie ci będzie tak wolno

ikar

Naprawdę dzieje Ikara były inne.
Po zniknięciu syna
Dedał nie rozpaczał
tylko przerzucając kolorowe kamyki
oczekiwał na jego powrót
Historia miała taki przebieg
Ikar osiągnął słońce
Wpatrywał się w nie
jak w najpiękniejszą różę
i podtrzymywał dłońmi
by jak najdłużej świeciło
Rydwan Heliosa
posuwał się jednak nieubłaganie
czego nie dostrzegł zachwycony młodzieniec
aż razem z nim skrył się za horyzontem
To nauczyciele moralisci i politycy
wymyślili tę historię z upadkiem
by odstrząsnąć następców
dzielnego młodziana.

diabeł

I oto pewnej nocy
odwiedził mnie diabeł
Był elegancki i przygnębiony
Od pewnego czasu — skarżył się
poprawiając mankiety zapięte
na okruchy gwiazd zbłąkanych —
nie lubię nocy.
Są nudne
Kiedyś grzechy kłębiły się
jak pszczoły w ulach wiosną
jak streszczenie Fausta
Starsi panowie recytowali
rozkwitającym dziewczętom
słodką litanię grzechów
Lubiłem ten nerwowy przydech
i to powolne psychiczne obnażanie się
kobiet
aż do przyzwolenia
przyćmione światła
jak jasne gniazda ptasie
kuszące obnażanie się
wonnych pni
kobiecych łon
a później to mocowanie
się duszy
skalanej grzechem
aż do następnej słodkiej nocy
te łyzy te wyrzuty
Diabeł zapłakał.
A łyzy diabła
są jak wiadomo czarne

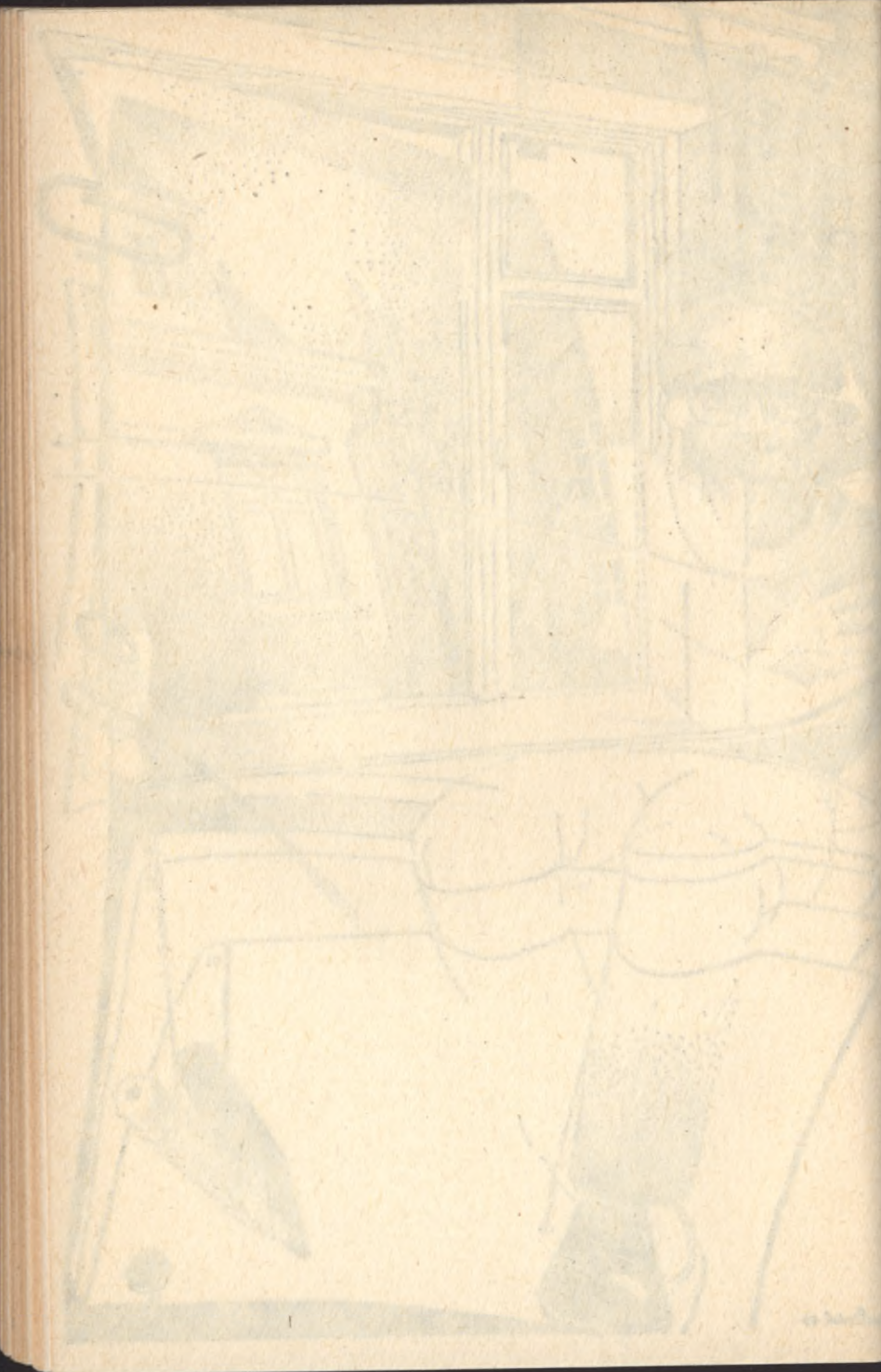
Teraz monotonia
sypiają z sobą
jakby robili maszynę
nie dają szansy
ani Diabłu ni Bogu.

hodowla pegazów

Postępujące zanieczyszczenie
naturalnego środowiska
zabija liczne gatunki
fauny i flory
Wiele wyginęło bezpowrotnie
Do takich należą pegazy
Postanowiono
w oparciu o teorie naukowe
założyć sztuczną
hodowlę tych okazów
aby ratować podupadającą
poezję
a naród bez poezji
jak bez podatków
nie może istnieć
Skrzyżowano krwistego araba
z orłem.
Eksperyment zakończył się
pomyślnie.
Otrzymany egzemplarz
do złudzenia przypomina
ten znany z mitologii
Są jednak trudności
Sztuczny pegaz
jest nerwowy
z rozwianym skrzydłem wiersza
podrywa się nieustannie
do nieobliczalnych lotów
Kaleczy się o domy drzewa
przewody elektryczne
ocieka krwią
co jest niezgodne
z obowiązującą estetyką

Raz zawisł na wieży
kościelnej
co zakłóciło równowagę
wiernych
zaniepokoilo ich oponentów
Trzymany na uwięzi
traci natomiast skrzydła
Zresztą nie ma pewności
czy ten naturalny
nie sprawiałby
podobnych kłopotów





dzieciństwo

Odeszliśmy od strachu przed ciemnością
i wylizywanego po kryjomu cukru
proca i kamień nie pasują do dojrzałości
coraz gorzej pamiętamy
co chcemy zapomnieć
żadne płoty nie zasłaniają świata
choć jesteśmy przykuci
do powszedniego dnia
jak do taczki
a nie do wystrojonych
jak do krakowiaka niedziel
Wiele jest w nas protestu
że czasem trudno do siebie trafić
a jednak zostało gdzieś
na ustronnym strychu dzieciństwa
parę krasnych piórek
które się nikomu
na nic nie zdadzą
złamane ostrze promienia
okruszyna pośniedzialej gwiazdy
i ten ktoś malutki
milknący w nas
zadający nam ciągle
elementarne pytania

ojcowie

Z ojcami zwykle jest spokojnie
Najpierw długo bawią się w wojnę
takie przedłużone dziecinne zabawy
do lat trzydziestu
Później nie są generałami
i nie godzą się
na synów i na siebie
Nie przewidywali im wprowadzie
dokładnej przyszłości
ale zawsze powinna być ona inna
Z nawyku bardziej niż z potrzeby
wyrąbują ostatnie lasy młodości
na ogniska których
często nie było
W końcu odkładają karabiny
pod sztandarem jakiejś pogody
i wychodzą z życia
Jest to wreszcie sytuacja
kiedy nie wnoszą zastrzeżeń
i stają się w końcu twardzi tak
jak o tym marzyli całe życie
I wtedy jest już spokojnie
aż do płaczu
co najlepiej rozumieją kobiety
powoli odchodzimy od ich
przysłów i pieśni
tylko czy niebo nad nami
przez nich oglądane
i to ciągłe szukanie gwiazdy
nie będzie ich nam przypominać

bracia

Bracia są konieczni jak powietrze
To oni uczą granic naszego świata
Zawiążą sandał gdy polazuje się w walce
Pokażą niebo z ptakiem i księżycem
Są w zabawie i w porażce
i znają cię po granice snu
Znają cię najlepiej
Dlatego pchną bezbłędnie
Pchną w samo serce
gdy upadniesz przegrany
Dzięki temu oszczędzą
zbytętnego bólu
Jak uczy historia
już Brutus
syn z nieprawego łoża
nie miał tej znajomości
anatomii Cezara
Stąd to pomieszanie
nieestetycznej strugi krwi
z tragicznym monologiem
I ty Brutusie przeciwko mnie

dedale codzienności

Jest w każdym z nas
pragnienie lotu
niespełniona strzała Albatrosa
niesiona prądami wszystkich rzek
w kierunku wszystkich stron ujścia
Nie zapominajmy jednak
my Ikary małych tekstów
latawce poetyckie
na trzy strofy nieba
to żony
te nasze Dedale
codziennie oswajają nas
z widokiem nieba
oglądanym wprawdzie oknem z kuchni
To one są odą
i przyciąganiem ziemi
do każdego dnia
Zakupują
najchętniej w przecenie
barwne piórka naszych skrzydeł
lepią je ufnością wraz z łzami
jak woskiem
po każdym upadku
Nie opowiadają o czyhających wokół
skałach i ścianach przeszkód
wiedzą że ich nie przelecimy
i dlatego lepią nam skrzydła
zawsze zbyt słabe.

przed lustrem

Kto nie poznaje w lustrze
własnej twarzy
pyta
to ty Janie
który mi nie podałeś
wtedy ręki
to ty Piotrze
który się mnie zaparłeś
choć nic ci nie groziło
To ty Magdaleno
która ciało swoje
jak towar
opakowany w nagość i pożądanie
sprzedałaś pokątnie
To ty Judaszu
Kto nie poznaje
własnej twarzy w lustrze
może to ktoś
z waszych znajomych
Pomóżcie mu

alpy

Był człowiekiem urządzonym
i zorganizowanym po ostatni gest
Unikał jakiegokolwiek ryzyka
nawet w wannie
kąpał się w pasie ratunkowym
Co wieczór dezynfekował
i przeglądał pod światło ręce
mózg nie mówiąc o podbrzuszu
Kłaniał się przełożonym
oglądany na zdjęciu
i słuchał tylko tych ptaków
które były aktualnie dobrze widziane
I oto kiedyś
posłyszany ułomek melodii góralskiej
w modzie był właśnie folklor
zbudził w nim pragnienie gór
Kupił odpowiedni sprzęt
i w ciepłym pokoju
narysował sobie Alpy
zgodnie zresztą z atlasem
Nieoczekiwanie spostrzegł
że znajduje się na zawrotnej ścianie
Każdy krok grozi śmiercią

obleżenie

Obleżenie nadal trwa
delektuję się więc
cieplem i zaciszą mieszkania
i nucę szła dziewczeczka do laseczka
Nie są to jakieś apartamenty
ciasne jak wyobrażenia urzędnika
i okropnie dymi się w okna
z pobliskiej fabryki
gdzie produkują ptaki
Zacząłem uczyć się jego ciszy
i poznawać odcienie widoków
widzianych z okna
w różnych porach słowa
I wtedy wpadli oni
Powalili mnie na ziemię
i zaczęli dusić
gdy byłem zupełnie
bezzadny
weszli tamci
też chcieli je zająć
Wywiązała się bezwzględna walka
Ci pierwsi nie bez trudności
wyrzucili tych drugich za drzwi
Teraz trzymają je uporczywie
aby tamci nie dostali się z powrotem
Oczywiście słyszeć sapanie
i częste klątwy
co może mieć wpływ na rozwój folkloru
w tej okolicy

Uwolniony mogę znowu mieszkać
Tylko co będzie
kiedy jedni z nich
w końcu ustąpią

poetyka

Tak długo żyłem w milczeniu
aż usłyszałem je krzykiem
Wierzyłem w piękno
i dobroć nieba
wyrosła z niego
krwiożercza paszcza
Nosilem zimny kamień
pod sercem
i oto nocą
mi zakwitł

pięta

Był niepoprawny
ciągle umykał z ankiet
i strof wierszy
Ile jego mieści się
w malowidłach gorączkowych snów
i tajemniczych architekturach
nocy wiosennych
Ale taki był
Nieustannie zaglądał
w szybki polnych sadzawek
Wymierzał zielone kopuły
grusz po miedzach
Wiosną jak nikt inny
umiał podejść okolicę
i słuchać
jak w niej kipi
życie jak w ulu
Przeganiał po Wiśle
bure bawoły piaszczystych łąk
pełne nagich dziewczęcych ciał
Nawet ze snem i nocą
był na ty.
Na zwichnięte pisklęta
wierszy młodych poetów
umiał chuchać
potajemnie i długo
że aż czasami
rozwijały skrzydła
I długo by tak można
kiedy słonecznikami
przedrzeźniał słońce
Kiedy malwy przy chatach
ubierał w krasne chusty

uniknął jednak ludzi
jakby się ich bał
czy dlatego
że tak doskonale
znał jednego z nich
siebie



spis rzeczy

Tytuł	7
Antoni Czechow	9
Niewielkie są nasze wiersze	10
Tren dla Siedemnastu	11
Nekrolog	12
Stary wiarus	13
Poeta	14
Niepogodzeni	15
Gniew	17
Mój przyjaciel	18
Żelazowa Wola	19
Powroty niemożliwe	23
Anioły wspaniałe	24
Borodino	26
List z Zakopanego	27
Po co komu poezja	28
Powrót do Wielowski	31
Rita Pavone tłumaczy serce	32
Wyznanie Heroda	33
Ofelia	35
Portret matki	36
Człowiek XX wieku	37
Hiroszima	38
Antygona	40
Biały erotyk	41
Kiedy do Ciebie przystępuję	42
Chodzenie po linie	45
Ryby	46
Jasełka	47
Niebo	48
Poezja niemożliwa	49
Słowo	50
*** <i>(Kiedy tak stoisz...)</i>	51
Ballada katowska	52
Przypowieść o Raju	53
Potrzeba skrzydeł	54

Harenda	56
Ikar	57
Diabeł	58
Hodowla pegazów	60
Dzieciństwo	65
Ojcowie	66
Bracia	67
Dedale codzienności	68
Przed lustrem	69
Alpy	70
Oblężenie	71
Poetyka	73
Piętak	74

Redaktor
Maria Kubasik

Redaktor techniczny
Zbigniew Nożyński

Korektor
Joanna Wawrzyniak

Printed in Poland

Wydawnictwo Poznańskie — Poznań 1978
Wydanie I. Nakład 1500+200 egz.
Ark. wyd. 2,5; ark. druk. 5,0
Oddano do składania 22 X 1977 r.
Podpisano do druku 30 I 1978 r.
Druk ukończono w marcu 1978 r.
Papier druk. — mat. kl. III, 71 g, 82×104
Zam. nr 96/77 J-3/7. Cena zł 16,—
Poznańskie Zakłady Graficzne
im. Marcina Kasprzaka w Poznaniu
ul. Wawrzyniaka 39 — 2861/77

Nowości poetyckie
WYDAWNICTWA
POZNAŃSKIEGO

•
Kazimiera Iłakowiczówna
Sługi nieużyteczne

•
Ewa Najwer
Liste kładki

•
Andrzej Babiński
Znicze

•
Ryszard Milczewski-Bruno
Nie ma zegarów

•
Edmund Pietryk
Palenie wrzosów
•

Cena zł 16,-

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. M. Dąbrowskiej
w Słupsku

Nr inwent.

83919

MBP Słupsk Centrala



83919

